



Katarzyna Ryrych
Philo i Złota Bastet

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Joanna Rusinek

Redakcja i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2023
ISBN 978-83-8208-143-5

Wydawnictwo Literatura



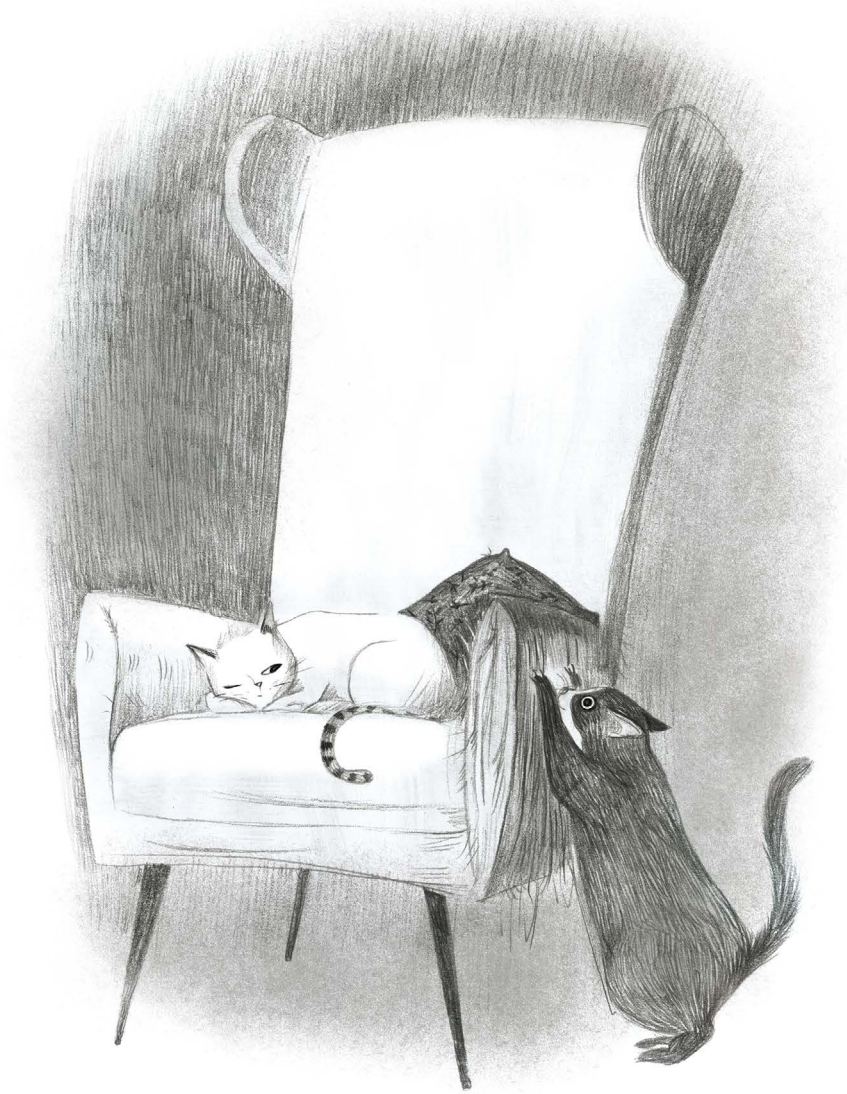
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Home, sweet home

Pani Dorota okazała się dokładnie taka, jak oczekiwałem. Po pierwsze, nigdy nie nazywała ani mnie, ani Dextera „koteczkim”. Po drugie, nie ingerowała w nasze małe spory... Bo, trzeba wam wiedzieć, że z Tetrykiem łączyła mnie zarówno przyjaźń, jak i szczerza nienawiść, która objawiała się przy gwałtownych zmianach pogody. W czasie naszej miejskiej odysei byliśmy tak pochłonięci poszukiwaniami, że nie zwróciłem najmniejszej uwagi na to, że Tetryk jest meteoropatą. Ale jeśli przy skokach ciśnienia, porannych mgłach i ostatnich burzach tego lata nie wchodziło mu się w drogę – wszystko było w porządku.

Szedłem wówczas na ukochany fotel, zwiјаłem się w kłębek i oddawałem wspomnieniom...

Po trzecie, pani Dorota stanowczo odmówiła wprowadzenia się do pokoju Babci i wszystkie swoje matematyczne książki, kartonowe pudełka pełne sudoku, roczników „Deltę” oraz „Physical Review” ustawiła na półkach w dawnym pokoju gościnnym. Nie nalegała również na



usunięcie ze ściany portretu Babci, za to sama, własnoręcznie, powiesiła obok niego portret mężczyzny o surowej, prawie ascetycznej twarzy.

– To jest nieboszczyk – podrapała mnie za uchem. – W ten sposób będą sobie wisieć obydwójce i nie trzeba będzie mówić jednemu, co powiedziało się w obecności drugiego.

Według mnie było to całkiem sensowne, z czym również bez zastrzeżeń zgodził się Dexter.

Po czwarte, pani Dorota ustawiła nasze miski w dwu różnych kątach kuchni, tak że Tetryk nie mógł zaglądać do mojej miski, jego miska zaś, prawdę powiedziawszy, nigdy mnie nie interesowała.

Pani Dorota nie miała również żadnych uprzedzeń co do obecności Rogera w pokoju Wnuka. Roger, szkielet, jaki Wnuk ustawił w swoim pokoju, był przyczyną niekończącej się wojny z Ciotkami, które nijak nie mogły pojąć, że dla studenta medycyny była to pomoc naukowa, o ile nie niezbędna, to bardzo efektowna...

Pani Dorota zdawała się rozumieć wszelkie przyczyny, dla których Roger pomieszkiwał z Wnukiem, i bywało, że zakładała na jego głowę swój słomiany kapelusz, co nadawało Rogerowi wygląd z lekka filuterny. Natomiast stanowczo zakazała Dexterowi używania nóg Rogera jako wyrafinowanego drapak, odsyłając go do starego krzesła w przedpokoju...

Rzecz jasna, pani Dorota miała swoje minusy – ustawicznie opróżniała popielniczkę na biurku Dziadka, nalegała, aby systematycznie łykał całe garście kolorowych

tabletek, a gdy przychodził doktor Zygmunt, baczny wzrokiem obserwowała lśniący brzusek karafki, nie wiedząc o tym, że w nodze od stolika, na którym Dziadek stawiał szachownicę, ukryta była nieduża piersiówka z likierem wiśniowym...

W niedługim czasie udało mi się przekonać Dziadka do spacerów na przystań i wszyscy razem odwiedzaliśmy Alex i Smarkacza.

W takie popołudnia na przystani pojawiał się również ojciec Rybaka i bywało, że pani Dorota wyciągała z torebki eleganckie pudełeczko z kartami i we czwórkę grali w jakąś skomplikowaną grę. Szedłem wtedy na mały spacer w stronę pomostu po piasku ubitym przez fale.

Czasami towarzyszył mi Dexter i wtedy spacerek nabierał zupełnie innego klimatu. Zamiast skoncentrować się na morzu – mlaskaniu fal, białej pianie osiadającej na piasku, na ptaszyskach, które na nasz widok odskakiwały na sztywnych nogach, Dexter kroczył z zadartą głową i napuszczonym ogonem tak, jakby z każdego plażowego kosza błyskały flesze aparatów.

Od czasu sezonu ogórkowego zupełnie zwariował na punkcie popularności i kilka razy udało mu się trafić na okładki kolorowych magazynów.

Na dodatek otrzymał parę najprawdziwszych listów od czytelników, a pani Dorota odczytała je głośno zaraz po obiedzie.

Dexter wysłuchał wszystkich pytań, zachwytów i komplementów, po czym ziewnął szeroko i ułożył się na parapecie wygrzanym przez słoneczne promienie.

– Zupełnie niepotrzebnie rezygnujesz z kariery medialnej – powiedział pewnego razu. – Nie codziennie koty robią takie rzeczy...

Ale mnie było naprawdę wszystko jedno. Tak jak chciałem, odnalazłem Dziadka, wyeliminowałem z gry Ciotki i z powrotem znalazłem się w ukochanym domu.

Dextera nie przekonywały wyjaśnienia dotyczące stóików*, więc dałem sobie spokój z namawianiem go.

W zamian oddałem się smakowaniu nowego etapu życia w myśl cytowanej coraz częściej przez Dziadka zasady *carpe diem***.

Rzecz jasna, Tetryk w przyływie dobrego humoru przetłumaczył owo porzekadło na „chwytaj karpia”, co, jego zdaniem, równie dobrze odzwierciedlało istotę rzeczy, jako że rybki wszelkiego rodzaju Dexter zaliczał do jednych z najsmakowitszych potraw.

Ja zaś, mimo że cenilem sobie rybki, miałem również wiele innych, sprawiających mi przyjemność drobiazgów – okazało się, że pani Dorota oprócz gry w brydża całkiem nieźle gra w szachy i potrafi w milczeniu patrzeć w okno, za którym wieczorny wiatr przesuwiał ku morzu kolorowe chmury.

Ciotki – podczas nielicznych odwiedzin w domu Dziadka – potrafiły zatruć swoim paplaniem każdą minutę, więc podobnie jak Dziadek, musiałem nauczyć się

* Stoikiem nazywamy zwolennika stoicyzmu – doktryny filozoficznej uznającej za najwyższe i jedyne dobro cnotę rozumianą jako życie zgodne z zasadami rozumu.

** *Carpe diem* (łac.) – chwytaj dzień; nie marnuj mijających chwil (Horacy, *Pieśni*).

wyłączać, choć, rzecz jasna, ode mnie nikt nie wymagał ciągłego potakiwania i brania udziału w dyskusji.

Zmienił się również nasz jadłospis... Choć jedzenie nigdy nie grało głównej roli w moim życiu, z prawdziwą przyjemnością znajdowałem w swojej miseczce gotowanego kurczaka z ryżem i świeże, leciutko sparzone wątróbki.

Rozkoszowałem się tą atmosferą domowego ciepła i słodkiego spokoju do momentu, gdy pewnej nocy wiatr od morza silniej uderzył w okiennice. Drewno zaskrzypiało, a przez szparę do gabinetu, gdzie spałem, wślizgnął się chłodny, pachnący solą, niepokojący powiew.

Lekki podmuch pogładził sierść na moim karku i zrzucił z biurka kilka kartek.

Wstałem, przeciągnąłem się i wskoczyłem na parapet. Przez szparę w okiennicy zauważyłem, jak poruszają się na wietrze czubki brzoź i modrzewi otaczających dom Dziadka.

Poczułem na plecach czyjś pytający wzrok. Odwróciłem głowę i spojrzałem prosto w świecące żółtym blaskiem oczy Dextera.

– Ależ dmucha – powiedział i jednym susem znalazł się tuż obok mnie.

Przypomniałem sobie sztormową noc na morzu i poczułem, jak miły dreszcz pełźnie po moim grzbiecie.

Zeskoczyliśmy na podłogę i najciszej, jak się dało, pobiegliśmy do kuchni, gdzie jedna z okiennic nie domykała się i teraz trzepotała na wietrze jak skrzydło wielkiego ptaka.

Spojrzałem w niebo. Ogromna, bladoniebieska tarcza księżycy co rusz znikwała za pędzącymi po niebie chmurami, aby za chwilę błysnąć jak wielkie, tajemnicze oko.

– Spójrz! – syknął nagle Dexter i chwycił mnie zębami za ucho. – Tam, przy murze...

Po trawniku sunęła przygarbiona postać, najwyraźniej czegoś poszukując. Na sąsiedniej parceli zaszczeakał pies.

– Na dach! – zakomenderowałem.

Minęliśmy pokój Wnuka, skąd przez uchylone drzwi spoglądał pustymi oczyma Roger, i zatrzymaliśmy się tuż pod schodkami prowadzącymi na strych.

– A co tu się dzieje? – za naszymi plecami rozległ się głos pani Doroty. Oświetlona bladym światłem księżycy, w długiej białej nocnej koszuli wyglądała jak duch z ilustracji w książce dla dzieci.

Dexter momentalnie z dzielnego poszukiwacza przygód zamienił się w jowialnego domowego sybarytę. Wykręcił koślawą ósemkę dokoła nóg swej pani i śpiwnie zamruczał.

Pani Dorota przysiadła na schodach i podrapała Tetryka pod brodą.

– W taką noc stare, drewniane domy ożywają – stwierdziła. – Jeszcze nie zdążyłam się do tego przyzwyczaić.

Zegar w gabinecie majestatycznie wybił północ, a z daleka odezwał się basowy ton zegara na miejskim ratuszu.

Na redzie zajęczał statek.

– No, panowie – powiedziała pani Dorota – proszę do spania. Jeżeli będziecie tak tłuc się przez całą noc, nie macie co liczyć na śniadanie podane w porę.

Wyskoczyłem na parapet malutkiego okienka na półpiętrze i oparłem się łapami o szybę.

Pani Dorota stanęła obok i razem ze mną wyjrzała w ciemność.

– Tak, tak – rzekła. – W taką noc można naprawdę uwierzyć w duchy.

Uliczne lampy, których blask sączył się przez potargane gałęzie brzoź, zamigotały i zgasły.

– Jeżeli chcecie – pani Dorota otworzyła drzwi do sypialni – możecie przespać się tutaj.

Nie wiem dlaczego – być może przez wzmagający się za ścianą wiatr, a może z powodu tajemniczej postaci, która niepostrzeżenie znikła w mroku – chętnie skorzystaliśmy z tej propozycji. Kołdra na łóżku była ciepła i miękka, szczelnie zamknięte okiennice nie skrzypiały, a ciche pochrapywanie Dziadka przypomniało nam, że jesteśmy w najbezpieczniejszym miejscu na świecie.

Lawina

Reszta nocy minęła spokojnie – spałem kamiennym snem i obudziłem się dokładnie w chwili, gdy w kuchni zabręczały nasze miski. Pani Dorota była osobą niesłychanie taktowną, której nie trzeba było na tysiąc sposo-

bów tłumaczyć, że zanim ludzie zasiądą przy stole, koty muszą otrzymać swoje porcje.

Zamruczałem na powitanie i zabrałem się za jedzenie. Z góry schodził już Dziadek w towarzystwie Dextera, który jak na tak gwałtowną zmianę pogody humor miał zadziwiająco dobry. Co prawda mruknął coś na temat wątróbki, ale podejrzewam, że było to tylko dla zachowania formy.

Za oknem świeciło słońce, śpiewały ptaki, a po nocnej wichurze pozostało trochę obłamanych suchych gałązek rozrzuconych po całym trawniku.

Umyłem pysk i spojrzałem porozumiewawczo na Tetryka. Za chwilę byliśmy już na parapecie, o który Wnuk, w trosce o nasze zreumatyzowane łapy, oparł długą sosnową deskę. Doprawdy, nie mam pojęcia, dlaczego Wnuk uparł się, że musimy koniecznie mieć reumatyzm, ale schodzenie po desce miało naprawdę wiele plusów. Po pierwsze, nie spadało się natychmiast w mokrą od rosy lub deszczu trawę, a po drugie, przy tej sposobności można było odrobinę stępić pazury.

Tak i tego poranka wyszedłszy przez uchylone okno, poskrobaliśmy pracowicie pazurami o deskę i zbiegliśmy do ogrodu.

Trawa pod murem zdążyła już się podnieść i tylko unosił się nad nią znajomy zapach...

– Naftalina? – pytająco niuchnął Dexter.

Wskoczyłem na mur. Czerniał na nim ślad buta. Nie był to jednak rozczłapany pantofel żadnej z Ciotek: but musiał być sporych rozmiarów i niewątpliwie należał do mężczyzny.